№ 31. Warszawa, dnia (22 Lipca) 4 Sierpnia 1900 roku. Rok XLII.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:

w Warszawie:		Z przesyłką pocztową:	
kwartalnie	rs. 1	kwartalnie	rs. 1.25
Za odnoszenie do domu kop. 10.		półrocznie	„ 2.50
		rocznie	„ 5.—

Rękopisów mniejszych Redakcya autorom nie zwraca.

ZA GRANICĄ: We Lwowie i Krakowie: Kwartalnie flor. 1.80. Na prowincyi flor. 2.20. W Poznaniu kwartalnie mr. 3, na prowincyi mr. 3.75. W innych państwach związku pocztowego kwartalnie rs. 1 kop. 60, lub walutą zagraniczną podług kursu.
Agencye główne na Galicyę: we Lwowie Agencya dzienników i inseratów St. Sokołowskiego Pasaż Hausmana l. 9: w Krakowie Księgarnia S. A. Krzyżanowskiego. Agencya główna na Niemcy Księgarnia Świętego Wojciecha w Poznaniu.

CENA OGŁOSZEŃ: Za wiersz petitu jednoszpaltowy lub jego miejsce kop. 12 „Nadesłane" wiersz garmontu kop. 50. Ogłoszenia przyjmuje Administracya pisma i wszystkie biura ogłoszeń warszawskie i znaczniejsze zagranicą. Zmiana adresu kop. 15.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna 26.—Telefon 106.

JULIUSZ ZEYER.

Na pograniczu obcych światów.

przełożył MIRIAM.

(Dalszy ciąg).

— Chcę z tobą wiecznie być — zawołałem porwany czarem nieodpartym, bo podczas mowy zmieniła się Chiomara znowu w istotę wyższego rzędu, jaśniejącą pięknem na ziemi niewidzianem, a jednocześnie pragnienie widzieć światy w snach tylko przeczuwane, poznać ich tajemnice, pojąć istoty inne, opanowało mnie z taką siłą, żem o wszystkiem, prócz Chiomary i jej słów, zapomniał.

— Mów, co mam czynić?—spytałem.

— Mam tylko wtedy moc nad tobą, jeżeli odrzucisz stanowczo wszystko, co z ziemią cię wiąże... Słyszysz? Wszystko! Odrzuć ciążące ci brzemię ciała, zniszcz bez wahania tę nędzną skórę twej istoty, a swobodnie, jako promień słoneczny przemkniesz przez ołowiane to powietrze i znajdziesz się ze mną w modrym eterze! Ale bardziej jeszcze niż ciało, wiązałaby cię z tym światem i stałaby jak opoka między nami miłość dla istot ziemskich; jeżeli czujesz ją, żegnaj mi na wieki, jesteś dla mnie stracony! Jeżeli serce twoje przy spojrzeniu na mnie zabije dla kobiety zrodzonej z kobiety, rozpłynę się w niwecz przed okiem twojem, i będę ci jedynie snem już prześnionym, który nigdy nie wróci! Jakżebyś chciał Bogu się opierać i jego porządkowi, gdybyś nie miał siły zdeptać słabą iskrę miłości człowieczej?

— Nic nie wiąże mnie z tą ziemią!—zawołałem. — Samotny, nie kochany, jak niegdyś ty, beznadziejnie idę przez życie.. Twoim jestem! Z tobą chcę być na wieki!

Skoczyłem ku szafie, gdzie obok małego zbioru rzadkiej starożytnej broni, wisiał piękny pistolet, który niegdyś z Paryża sobie przywiozłem i tam umieściłem. Trzęsącemi ze wzburzenia rękoma, jąłem go nabijać. W tejże chwili ozwał się w cichym domu płacz naszego dziecięcia, wzruszające kwilenie, a zaraz potem uspakajający śpiew Flory i głębokie, drgające dźwięki kilku akordów na harmonium. Zatrzymałem się bez ruchu z pistoletem i nabojem w ręku, nogi zaczęły mi drżeć i padłem na fotel. Walka okrutna jęła toczyć się w mem sercu, ale gdy podczas mego wahania cień Chiomary zaczął blednąć coraz bardziej, niewysłowiony ogarnął mnie niepokój.

— Stój, stój, cudny cieniu! — wołałem. — Nie waham się bynajmniej, pójdę z tobą, nieodparcie ciągniesz mnie ku sobie, ale serce krwawi mi się, od drogich odrywając się istot! Krótkie tylko pożegnanie ostatnie — i jestem twój na wieki!

Chwyciłem spiesznie za ołówek i zacząłem pisać kilka słów do Flory, wspomniałem też w krótkiem zdaniu o naszem dziecięciu; ale podczas pisania wzrok mój tkwił ciągle na bladnącem widmie Chiomary.

— Biada, biada!—jęczał cień.— Ty kochasz, inne pęta cię wiążą, lgniesz do ziemi... Żegnaj na wieki! Czemu wołałeś mnie?

— Nic mnie nie wiąże!—zawołałem, prawie oszalały ze strachu, że Chiomara mi zniknie.— Idę już z tobą!

Ale cień Chiomary bladł, i jęk dobrzmiewał słabo w zawodzeniu wiatru pod oknem.

— Już cię prawie nie widzę! Gdzie jesteś?—zawołałem, a gdy nie odpowiadała, skoczyłem ku ukrytej szafce u okna i chwyciłem flakon z czarodziejskim napojem. Chciałem wypić zawartość kryształowego naczyńka, wzmódz w ten sposób wzrok swój duszny, aby odszukać ją we mgle, w którą rozpłynęły się jej zarysy.

— Ty kochasz! Ty wahasz się!—zabrzmiało głośniej poniekąd, i zarysy we mgle zaświeciły wyraźniej.

— Nie kocham i nie waham się! — zawołałem radośnie. — Oto dowód, że odchodzę obojętnie z tego świata pełnego nędz i bólu: ani słowa tkliwego do tych, którzy tutaj zwłoki me znajdą zakrwawione!

W dzikiem uniesieniu przystąpiłem do stołu, wziąłem rozpoczęty list, zerwałem z szyi mały medalionik z wizerunkiem Flory, potarłem zapałkę i podpaliłem list, w który uprzednio zawinąłem medalion. Palący się papier rzuciłem do kominka. Po chwili strzelił wielki płomień, było tam mnóstwo nawrzucanych papierów, oraz kawałki niedopalonego drzewa. W chwili, gdym od buchającego odstąpić chciał ognia, aby kulą pistoletową kres życia położyć i duchowi wolność dać, zadrgało powietrze tajemniczym najczarowniejszych dźwięków prądem: świecie, tkliwie, słodko płynęła ku mnie fala organowych tonów, z któremi wiązał się miękki, głęboki, z samego serca idący głos Flory. Oczy mi zwilgły, jak piorunem rażona zatrzęsła się cała ma istność, czułem w tem okamgnieniu, jak niewysłownie drogą była Flora mej duszy.

— Oh, Floro! — zawołałem, poruszony do głębi.—Gdybyś mnie była kochała!..

Zaraz potem wszakże otrząsłem się z chwilowej tej słabości.

— Było to ostatnie wahanie—szepnąłem.— Wracam znowu do ciebie, Chiomaro.

Ale zamiast za pistolet chwyciłem za flakon z czarodziejskim napojem; czemu tak uczyniłem, nigdy nie mogłem sobie wytłómaczyć.

— Oh, Floro, gdybyś mnie była kochała! — westchnąłem raz jeszcze.

— Ja cię kocham, a ty mnie pojąć nie chcesz!—zabrzmiał w tejże chwili smutny głos Flory.

Słowa te były refrenem starej ballady szkockiej, którą Flora właśnie śpiewała, ale mnie w tem okamgnieniu zdało się, że ona wprost

do mnie mówi, że na westchnienie moje taką mi śle odpowiedź. Radość szalona przejęła mnie, serce zabiło mi tak gwałtownie, jakby pęknąć miało...

— Twoja miłość byłaby światem jedynym, do któregobym tęsknił!, Oh, Floro, Floro!—zawołałem z uniesieniem i odrzuciłem trzymany w ręku flakon prosto w ogień.

Odskoczyłem, gromowym ogłuszony wybuchem Jak fale rozszalałej rzeki, rozlał się w okamgnieniu ogień z kominka, i wnet lizały blado-modre języki niezliczonych płomieni stare księgi, spróchniałe sprzęty biblioteczne i nawet surdut mój, który szybko zerwałem z siebie i odrzuciłem. Całe powietrze zamieniło się jakby w ogień. Biblioteka gorzała jednym płomieniem. Z przytomnością umysłu, której sam sobie objaśnić nie mogę, zerwałem z siebie płonącą odzież i w okamgnieniu znalazłem się na korytarzu. Myśl, aby ostrzedz Florę przed pożarem, aby ratować ją i dziecko, gnała mnie ku schodom, wiodącym na dół, ale wyziewy zniszczonego płynu tak mnie odurzyły, żem do schodów nie trafił; minąłem je w pośpiechu i padłem nawpół zaduszony trującym dymem, w przeciwległym końcu korytarza.

Omdlenie, które pozbawiło mnie świadomości było krótkie, ale przyszedłszy do siebie, spostrzegłem jednak, że przez ten krótki czas pożar w starym domu z olbrzymią rozszerzył się szybkością. W dole pod sobą słyszałem wołania, śpieszne kroki, krzyk, hałas.

— Bogu dzięki! — pomyślałem. — Wybuch zbudził ich, uratują się w czas!

Chciałem się podnieść i dopełznąć do schodów, ale siły moje były zbyt wyczerpane i nie mogłem nawet utrzymać się na nogach. Podniosłem głowę: na drugim końcu korytarza, nad biblioteką, dach zawalił się właśnie, i widziałem, jak z niebios wyżyny ciężkie chmury zaglądały ciekawie w ogień, jak w szczelinach ich na zaczerwieniałem niebie gwiazdy drgały i bladły, i jak nad rozszalałymi płomieniami unosiło się widmo Chiomary. Ramiona miała otwarte i ku mnie wyciągnięte, była piękna jak meteor, wzniosła i straszliwa jak śmierć.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Nerwowość jako czynnik

społeczny.

Przed laty pięćdziesięciu, gdy była mowa o cierpieniach nerwowych, miano zawsze na myśli rodzaj niewieści. Kobiety to bywały prawie wyłącznie ofiarami tego smutnego rozstroju psychicznego, który określamy wyrazem nerwowość. Wyraz ten ma podwójne znaczenie, i dlatego należy najpierw porozumieć się, co właściwie nazwać nim pragniemy. Otóż nie chodzi tu o usposobienie nerwowe, o wyższą od przeciętnej wrażliwość umysłu i uczucia, które są cechami natur artystycznych, i towarzyszą wszelkiego rodzaju twórczości, ale poprostu o cierpienia nerwów rozmaicie przez lekarzy klasyfikowane, chrzczone mianami histeryi, neurastenii i t. p., a mające wogóle za podstawę naruszenie równowagi psychicznej.

Choroby powyższe, o ile dochodzą do wysokiego stopnia rozwoju, pośrednio tylko wpływać mogą na życie społeczne. Ciężko chorych bowiem przyjmują szpitale, kliniki, zakłady hydropatyczne, domy zdrowia i t. d. Tutaj, aż do względnego wyzdrowienia, pozostają oni pod opieką lekarzy, i z nimi jedynie mają stosunki.

Inaczej ma się rzecz z lżej chorymi, z ludźmi, którzy uważają się jedynie za nerwowych, lub podlegających łatwo zdenerwowaniu, mówiąc wyrażeniem utartem. Ci żyją wśród zdrowych, na równi z nimi oddając się pełnieniu wszelkich obowiązków ludzkich, rodzinnych, społecznych. Cierpienie ich jednak nie pozostaje bez wpływu na tok życia zbiorowego. Wnoszą oni w to życie pierwiastek newrozy, która cechuje każdą ich czynność, każde wystąpienie, czy to w ciasnem kole domowem, czy na szerszej widowni.

Jak zaznaczyliśmy wyżej, przed pół wiekiem, nie lekarze rozumie się, ale szerszy ogół uważał newrozę za specyalną właściwość kobiecego organizmu. Dowodzi to, że istotnie cierpienie to wśród kobiet musiało być bardziej rozpowszechnionem, niż śród silniejszej i niby mężniejszej połowy rodzaju ludzkiego.

Dopiero w ósmym dziesiątku naszego stulecia zaczął pojawiać się u nas coraz częściej typ nerwowca. Przedstawiał się on z początku jako niezmiernie interesujący wytwór nowożytnej cywilizacyi. Niektórzy upatrywali w nim wyższość jakąś, stawiali go ponad tłumem przeciętnych, zdrowych ludzi. Kobiety pociągane były przezeń magnetycznym jakimś urokiem. Wprędce też z życia przeszedł do literatury, nic tracąc i tam zdobytej aureoli. Nie badano nawet, czy blask ten nie jest blaskiem świecącego próchna.

To upodobanie w typie chorobliwym świadczy, jak sądzę, że w całem społeczeństwie rozrzucone już były ziarna newrozy, które też niezadługo bujnie wschodzić zaczęły.

Nie badając, czyja ręka i w jakich okolicznościach ziarna te zasiała, powróćmy do dziejów nerwowca.

Niewiele lat upłynęło, a typ ten tak spowszedniał, tak się spospolitował, że przestawszy zaciekawiać, począł w ludziach myślących, starszych zwłaszcza, budzić poważne obawy, i podniecać ich do bardzo niekorzystnych dla spółczesnego pokolenia porównań.

Dziś, zwłaszcza śród inteligencyi większych miast, neurastenicy z pewnością przewyższają liczbę zdrowych.

A kobiety?

W ciągu krótkiego względnie czasu odwróciła się karta.

Może warunki ekonomiczne, które zmusiły kobietę do pracy zawodowej, dającej ujście niewyzyskanym siłom, może inne jakieś, trudniejsze do dostrzeżenia przyczyny, sprawiły, że kobiety stanowią dziś nerwowo zdrowszą i silniejszą część społeczeństwa.

Zastrzegam raz jeszcze, że nie mówię o ciężkich wypadkach newrozy, ale o tej nerwowości powszedniej, na którą od czasu do czasu tylko szuka się rady u lekarza, która niby nie będąc chorobą, jest niemniej pierwiastkiem rozkładowym w życiu społeczeństw.

Pozostawmy tymczasem na stronie badanie przyczyn, które złożyły się na rozpowszechnienie neurastenii śród młodzieży męzkiej (przyczyny są różnorodne i w niektórych tylko wypadkach przypisać można chorobę osobistej winie jednostki dotkniętej cierpieniem) a przypatrzmy się takiemu neurastenikowi.

Przedewszystkiem jestto człowiek nieszczęśliwy. Czuje się nieszczęśliwym i ma wszelkie pozory istoty, której źle dzieje się na świecie. Ale melancholia nie jest jedynym objawem i następstwem rozstroju nerwowego. Na tle newrozy krzewią się przeróżne choroby moralne: pessymizm, tchórzostwo, egoizm, brak woli, przykra dla otoczenia drażliwość i początki wszelkiego rodzaju manii.

Najbardziej rozpowszechnionym z tych jadów moralnych jest pessymizm.

Dla nerwowca życie jest męczarnią; każda przeciwność w oczach jego urasta do olbrzymich rozmiarów, każda przykrość jest nieszczęściem, każde niepowodzenie klęską, a samobójstwo bywa niekiedy epilogiem smutnej powieści jego życia.

I mniej ostre formy pessymizmu ciążą silnie na naszem życiu społecznem. Nie trudno zauważyć, jak mało ludzi przystępuje do jakiegoś przedsięwzięcia z wiarą i ufnością. Nawet gdy dążą do danego celu popychani szlachetnemi aspiracyami, lub poczuciem obowiązku, to najczęściej bez przekonania, że cel ten osiągniętym być może, bez głębokiej, potężnej wiary w spełnienie zamiarów—w siły swoje. Idą smutni, zadumani; na ustach mają gorycz, w duszy znużenie. To są nerwowcy. Oni to, dziwiąc się niekiedy energii i zapałowi kobiet, oskarżają je o brak krytycyzmu, o zdolność do złudzeń.

Nie, to nie brak krytycyzmu, to nie obawa przed spojrzeniem w oczy groźnej rzeczywistości—to tylko zdrowsze dusze kobiet inaczej reagują na przeciwności i zawody, niż chore dusze dekadentów. Pierwsze mają w sobie niewyczerpane źródła: entuzyazm i wiarę — u drugich źródła te wyschły.

Najtragiczniejsze bywają starcia między nerwowością a poczuciem obowiązku tam, gdzie jak to zwykło się mówić: nerwy wypowiadają posłuszeństwo.

Oto trafia się, że człowiek o duszy szlachetnej, o czystych pragnieniach popełnia rzeczy nizkie, liche, nikczemne nawet, bo na wielkie i śmiałe za słabe ma nerwy. Oto inny nosi w duszy piękną krainę marzeń, ale do krainy tej nie wejdzie nigdy, bo na jej progu legł nie smok bajeczny, ale jego własne tchórzostwo, innym wyrazem jego nerwowość.

I tak padają w proch charaktery, marnieją zarodki najpiękniejszych kwiatów i najposilniejszych owoców na drzewie życia.

Cóż mówić o braku woli, o egoizmie? To są rzeczy smutne, z któremi spotykamy się codziennie. Stoją one w prostym stosunku do rozstroju nerwowego danej jednostki.

Zastanówmy się jeszcze chwilę nad tem, co nazwalabym nerwowością zbiorową.

Jakkolwiek psychologia tłumu jest dotychczas bardzo mało badaną, to jednak kwestyi ulegać nie może, że tłum złożony z ludzi zdrowych inaczej zachowa się w danych okolicznościach, niż tłum, w którym znajduje się wiele jednostek zdenerwowanych, nienormalnych. Jak doświadczenie codzienne uczy, ten

ostatni skłonnym jest do gwałtownych przeskoków, od radości do upadku ducha, od uwielbienia do potępienia. Nieuzasadnione nadzieje i równie bezpodstawne obawy mogą miotać nim naprzemian w krótkich względnie odstępach czasu. Drobna jakaś i choćby niewiarogodna pogłoska przyjmuje w jednej chwili fantazyjne kształty, a im mniej prawdopodobna, tem silniejszą znajduje wiarę.

Niema ruchliwszej fali nad taką zdenerwowaną zbiorowość, w której myśl „nie trwa godziny.“ Tłum taki zdolnym bywa do chwilowych porywów, ale wytrwałe dążenie wszelkie jest dlań niezmiernie trudnem. Że zaś na wytrwałem, na uporczywem dążeniu zarówno jednostek, jak całych społeczeństw do raz obranych celów polega wszelki postęp i rozwój prawidłowy, więc nerwowość uznać musimy za złe społeczne, za straszliwą epidemię psychiczną, od której powinnibyśmy bronić się wszelkimi sposobami. Na zjeździe lekarzy i przyrodników w Krakowie mówiono wiele o obronie przeciw gruźlicy. Nam się zdaje, że nerwowość jest złem sięgającem o wiele głębiej, bo do samych podstaw społecznego życia, jest zresztą, jak sami lekarze twierdzą, doskonałem podścieliskiem do rozwoju wszelkich chorób, a więc i tej gruźlicy także.

H. C.

Ze zjazdu lekarzy i przyrodników

POLSKICH.

Uwaga ogólna zwrócona była w ostatnim tygodniu na Galicyę, a właściwie na obrady zwołanego do Krakowa kongresu polskich lekarzy i przyrodników. W dniu 21 Lipca otwarto tam urzędowo zjazd wraz z jego wystawą przyrodniczo - lekarską. Tę ostatnią szczególnie nawiedza miejscowa i przejezdna publiczność nasza. Wielkie to zainteresowanie jest całkowicie usprawiedliwione ze względu na dostępność objaśnień pouczających. Modele wzorowego zakładu dla chorych piersiowych, wyroby ortopedyczne różnych firm, zdjęcia fotograficzne, tablice hygieny, wzorowe urządzenia gabinetu dentystycznego, hodowle bakteryi d-ra Bujwida, preparaty embryologiczne, artykuły spożywcze szkodliwe dla zdrowia za sprawą spekulacyi, zgubne kosmetyki toaletowe, specyfiki, których się najbardziej wystrzegać należy, i wiele innych objaśnień bezpośredniego użytku, z których cały najszerzej wzięty ogół skorzystać winien.

Z prac sekcyi pojedynczych, których plan podaliśmy czytelnikom na parę tygodni przed zjazdem, zaznaczamy tutaj główniejsze rezultaty.

I tak w sekcyi chemicznej uchwalono potrzebę ustalenia terminologii polskiej i nomenklatury, i wybrano do tego celu komisyę. W sekcyi anatomiczno fizyologicznej przewodniczący profesor Hoyer przedstawił pomiędzy innemi drukowane w Warszawie arkusze podręcznika polskiego histologii, opracowanego zbiorowo przez badaczów warszawskich, krakowskich i lwowskich. Ale środek ciężkości prac zjazdu stanowiły, rzec można, obrady nad wychowaniem fizycznem młodzieży i środki zamierzone w sprawie walki z gruźlicą. Posiedzenia sekcyi, która pomieściła te tematy w swoim programie były najtłumniej nawiedzane. Poczynając od rzutu oka na historyę wychowania fizycznego w naszym kraju, w którym znalazła się zaszczytna wzmianka dla Zgromadzenia księży Pijarów i Komissyi Edukacyjnej, przedstawił dr. Piasecki w całości program wychowania fizycznego, przyczem krytykował niedostateczne i wadliwe uwzględnianie gimnastyki w dzisiejszych szkołach Galicyjskich. Zdaje się, że idyotyczna manja sportowa współczesna wdarła się i tutaj, aby skrzywić co było do skrzywienia w tym kierunku. W szkołach bowiem galicyjskich, jak zapewnia dr. Piasecki, atletyka i akrobatyka rugują hygienę i pedagogikę na każdym kroku. Chcąc zreformować w kierunku pożądanym ten dział, należy, zdaniem referenta, zmienić program do gruntu. Celem jest przedewszystkiem zdrowie fizyczne, następnie na podstawie osiągniętych rezultatów, troska o charaktery, a popisy i produkcye zostawić trzeba dla estrad i cyrków. Dr. Piasecki radzi uprawianie gier ruchowych na świeżem powietrzu; bieganie wzbudza silny głód tlenu i możność zarazem zaspokojenia go, przytem rozporządzają te zabawy potężnym środkiem hygienicznym, za który uważać należy uczucie radości. Jestto, zdaniem referenta, bodziec równie potężny jak tlen i światło słoneczne. Jak dalece pominięto rzecz podstawową w 91 stowarzyszeniach gimnastycznych galicyjskich, które liczą ogółem 9,208 członków, dość będzie powiedzieć, że tylko 6 z tych towarzystw wraz z 106 członkami ma u siebie wprowadzone zabawy ruchowe.

Oto do czego dochodzi się przez usuwanie spraw tego rodzaju z pod kontroli lekarskiej. Ćwiczenia gimnastyczne, zdaniem d-ra Piaseckiego, jeśli nie są prowadzone na świeżem powietrzu i pozbawione nadzoru lekarskiego, uważać należy jako stanowczo szkodliwe zdrowiu młodzieży. Dalsze wnioski w sprawie kreślenia programów szkolnych, w których uwzględnioną byłaby nagląca konieczność poprawy zdrowia pokoleń młodych, opierać by się musiały na zmniejszeniu godzin nauki, a naznaczeniu zarazem szerszego miejsca fizycznemu rozwojowi organizmów młodych. Przy uniwersytetach ustanowićby należało specyalne katedry wychowania fizycznego.

Wszystkie te wnioski d-ra Piaseckiego zgromadzeni zamienili na rezolucye zjazdu.

W sekcyi, która zajęła się sprawą walki z gruźlicą przewodniczył doktór Sokołowski z Warszawy. Przytaczamy poniżej tematy główne odczytanych tutaj prac. I tak dr. Sokołowski wykazał w referacie swoim, że dziedziczność nie odgrywa w cierpieniach gruźlicznych takiej roli, jaką jej dotąd przypisywano. Z przeprowadzonych przez referującego badań okazało się, że na 8,000 wypadków gruźlicy tylko $^{1}/_{4}$ chorych zawdzięczała ją dziedziczności. Dr. Merunowicz zwraca uwagę na rozszerzenie się w Galicyi cierpień gruźlicznych, stwierdzając cyframi, że pochłaniają tam suchoty płucne rocznie 45,000 żywotów ludzkich. Godnem jest także uwagi, że zdrowotność miast stoi lepiej aniżeli prowincyi. O warunkach w Księztwie Poznańskiem mówił dr. Karwowski. Doktorzy Polak i Tchórznicki z Warszawy przedstawili odnośną statystykę 10 gubernii Królestwa. Przeważyło mniemanie ogółu obradujących, że dotychczas zebrany materyał cyfrowy uważać należy za niedostateczny i że statystykę dokładniejszą i obszerniej traktowaną uważać wypada jako niezbędną. Wobec tego powziął kongres rezolucyę tej treści: „Wydział gospodarczy zjazdu wystarać się nieomieszka o potrzebne fundusze i zajmie się zebraniem statystyki gruźlicy, przyczem zaznacza się, że chodzi raczej o dokładność danych aniżeli o ich ilość.“

Dr. Bujwid mówił o środkach zapobiegawczych, a konkluzye w referacie swoim postawił następujące:

1) Chorych na gruźlicę nie należy w szpitalach umieszczać na salach ogólnych—2) Niszczyć zakaźne wydzieliny tuberkulicznych wszędzie, gdzie ich obecność przewidywać wolno— 3) Skrapiać ulice i ustawiać na nich równie jak na salach publicznych spluwaczki napełnione proszkiem dezynfekcyjnym—4) Pouczać za pomocą broszur, odczytów publicznych i t. p. że gruźlica jest chorobą zakaźną, a zarazem popularyzować środki jej zwalczania — 5) Badać mleko na rynkach, szczepić tuberkulinę krowom dojnym, poddawać kontroli mięso w rzeźniach i składach — 6) Wymagać od dzieci wstępujących do szkół świadectwa, że są wolne od gruźlicy — w razie odsunięcia kandydata od nauki jako podejrzanego o cierpienia gruźliczne, dostarczyć mu natychmiast środków leczenia się.

Sprawy sanatoryów referował dr. Dunin. Oto główne punkta jego postulatów w tym względzie. Wznoszenie sanatoryów musi wziąść na siebie inicyatywa prywatna — Sanatorya zakładać należy na zewnątrz murów miejskich — Pożądanem byłoby, aby towarzystwo przeciwgruźlicze, przeciwskrofuliczne i kolonij letnich połączyły się i działały wspólnemi siłami. Po przedstawieniu referatów d-rów Janiszewskiego i Dluskiego, co do sanatoryów uchwaliła sekcya wnioski tej osnowy. Program walki obejmować powinien: 1) Wszechstronne badanie gruźlicy—2) leczenie a zatem sanatorya, szpitale, a w tych ostatnich specyalne oddziały dla cierpień tuberkulicznych— 3) Zapobieganie cierpieniu—4) Kształcenie lekarzy specyalistów w sanatoryach i szpitalach i pouczanie społeczeństwa wszelkiemi środkami, jakie doświadczenie uznało za skuteczne.

Oto szereg prac niezmiernej doniosłości, których ważność i nagłość ocenić winien cały najszerzej wzięty ogół i współudziałem szczerym poprzeć usiłowania przedstawicieli swojej nauki.

K.

Zapomniana poetka polska

z wieku XVIII-go.

(Dalszy ciąg).

IX.

Ostatni z wierszy, objętych rękopisem Niemiryczowej, okazuje jedną jeszcze, dotąd nieuwzględnioną, stronę jej życia, charakteru i uzdolnień poetyckich.

Ten wiersz nie ma, na nieszczęście, początku. Zdaje się, że jest cząstką obszernej całości, która do nas nie doszła. Może przypadek, króry po stu pięćdziesięciu latach tę cząstkę na jaw wydostał, okaże się kiedyś równie pomyślnym i dla reszty.

Rozpatrzmy tymczasem to, co ocalało.

Już sam tytuł wiersza wskazuje, że on należał do innego zbioru, i że w innym zeszycie, pod innym nagłówkiem, należałoby szukać jego początku i środka. Ani w tytule, ani w treści niema tam wzmianki o żadnej symbolicznej, malowanej czy też tylko wymarzonej „figurze," pod którą zostałby umieszczony. W dwudziestu czterech rzędach *) podaje zakończenie utworu niewątpliwie długiego, który był opisowy, po części nawet pamiętnikowy i, jak się zdaje, posiadał charakter panegiryku.

Tytuł wiersza: „Kontynuacya Opisania Trybunału Lubelskiego."

Po kobiecie światowej, swawolnej i płochej, po bystrej podpatrywaczce ludzkich słabostek i śmiesznostek, po żarliwej, nabożnej i w nabożeństwie aż do ascezy dochodzącej chrześcijance, po miłośniczce przyrody i filozofce praktycznej, staje przed nami niespodzianie obywatelka, zajmująca się żywo sprawami publicznemi (nie politycznemi jednak), mieszająca się do nich w roli czynnej, poddająca poetyckiej „cenzurze" ludzi posiadających wysokie urzędy..

W tem, co poprzedzało bezpośrednio początek dochowanego wiersza, mieścił się wizerunek jednego z dostojników krajowej palestry. Dostojnik był odmalowany pod każdym względem *en beau*. Ujawniają to słowa następne:

...Bo sprawiedliwe w mądrych ręku pióro
I niezmazane żadną impostурą;
Niechże w honorach na wieki dziedziczy,
A sto lat niechaj w dobrem zdrowiu liczy.

Całe grono sądowników, w Trybunale Lubelskim zasiadających musiało być odmalowane barwami rażąco pochlebnemi. Domyślać się tego można z zastrzeżenia, jakie czyni przy końcu autorka, obawiająca się, aby jej nie posądzono o umyślną chęć „kaptowania" wpływowych stróżów i szafarzów sprawiedliwości.

Oto w jaki sposób tę obawę wyraża:

W addytamencie kilka wierszów kładę,
Żeby zabieżeć od złych ludzi zdradę,
I mnie żeb (tak) ludzie fałszu nie zadali
I nie mówili, że Trybunał chwali
Dlatego, że swą gdy sprawę wygrawa,
To na pochwałę Trybunału żwawa...

Widocznie wiersz, choć do naszych czasów w rękopisie ukryty, nie był na ukrywanie przeznaczony. Panegiryku w formie prywatnej wyrażonego autorka nie miałaby potrzeby przed sądem ogółu bronić.

Argumenty, jakimi się zastawia, posiadają w istocie moc przekonywającą.

...Mylą się tacy, bo ja mam swe żale
Sprawę przegrawszy—a Trybunał chwalę.
Skorom przegrała swoją donacyję,
A przytem jeszcze i kalkulacyję,
To już złe całe miałam dzisiaj targi—
A na pochwałę nie zamykam wargi.
Cóż to za rozum i co to za zdanie,
Kiedy się komu nie po myśli stanie,
Zaraz swych sędziów godnych cenzurować!
Takiego i świat nie ma estymować.
Ja tę pochwałę stawić zawsze ninie
Przyrzekam; proszę, wierzcie Antoninie,
Że prawdę pisze, nie zmyliwszy słowa,
I z Jełowickich ta Niemiryczowa.

Praktyczność poetki, zajmującej się osobiście swemi sprawami i sądzącej sędziów, nie była w owej epoce rzeczą ani osobliwą, ani rzadką. Owszem, prababki kobiet dzisiejszych choć im idea tak zwanej „emancypacyi" była najzupełniej obca, odznaczały się nierównie większą zaradnością od swych prawnuczek.

Występowano u nas niezbyt dawno z wnioskiem, aby na pensyach żeńskich zaprowadzić popularny wykład prawa. Nieznajomość przepisów prawnych, nawet w zakresie regulującym stosunki majątkowe i społeczne pomiędzy małżonkami, jest wśród kobiet naszych rażąca.

Zgoła inaczej było za czasów dawniejszych.

Prababka dzisiejszej emancypantki, poczytywana tak często, tak niemal powszechnie, za istotę bierną, której cnotami największemi były: potulność, uległość i ewangieliczne „ubóstwo ducha," odznaczała się w rzeczywistości większą nieraz rezolutnością, niż najśmielsza z bojujących feministek. Ale jej rezolutność nie objawiała się w teoryi, w słowie drukowanem lub wygłaszanem z publicznych mównic, lecz—w życiu praktycznem.

Jednym z licznych, stwierdzających to przykładów, jest właśnie nasza poetka. Już wiele, wcześniej przytoczonych, wierszy dowodziło, że z upojeń poetyckich było jej znane jedno tylko: ekstaza religijna. Poza tem, w stosunkach życiowych i w poglądach na świat odznaczała się wielką „trzeźwością." Urywek z „Trybunału Lubelskiego" okazuje nadto, że sprawami majątkowemi zajmowała się osobiście, że koła i tryby wielkiej machiny sądowniczej były jej zblizka znane, że umiała nawet zdobyć się na krytykę jurystów i oddanie sprawiedliwości tym, co ją innym wymierzają.

Nie można zaś bynajmniej uważać jej za wyjątek. Prawie wszystkie wybitniejsze niewiasty ówczesne posiadały rozległą, *praktyczną* wiedzę.

Urszula Radziwiłłowa, domniemana przyjaciółka Niemiryczowej, słynęła z głębokiej, przez znawców podziwianej, znajomości prawa krajowego i kanonicznego (historya i... teologia były również przedmiotem jej pilnych studyów).

Elżbieta z Lubomirskich Sieniawska, żona Adama Sieniawskiego, wojewody Bełzkiego, przyjmowała jak najszerszy udział w sprawach publicznych. Znane są jej zabiegi w celu utrwalenia dynastyi Sobieskich na tronie polskim.

W ciekawej pracy Chomętowskiego: „Stanowisko praktyczne dawnych niewiast Polskich" przytoczono wiele innych nazwisk i przykładów, z któremi niedostatecznie liczy się dzisiejsza publicystyka niewieścia. Jest tam naprzykład wspomniana Maryanna Kossowa, Wojewodzina Chełmińska, która po wczesnej śmierci męża, zarządzała osobiście olbrzymim majątkiem. Ta pani pozostawiła własnoręcznie przygotowany testament oraz inwentarz całego mienia, które dowodzą zadziwiająco rozległej wiedzy prawniczej, gospodarskiej, ekonomicznej, a przytem — co nie zawsze chadza w parze — najczulszego serca dla rodziny i blizkich.

Wiktor Gomulicki.

(Dalszy ciąg nastąpi).

---

*) Zachowując nazwę „wiersz" dla utworu poetyckiego, nazywam „rzędem" to, co w znaczeniu czysto pisarskiem i drukarskiem zowie się u nas zwykle *wierszem*.

Jeszcze raz o sporcie kobiecym.

(Dokończenie.)

Pani Kamilla du Gast w ten sposób się wypowiada:

„Kobieta wedle pisma i prawa iść ma za mężem swoim. Ona spełnia właśnie ten obowiązek napierając się sportu. Mężczyzna dzisiejszy dotknięty jest manją zmiany miejsca—kobieta chce robić to samo, a niekiedy idąc wraz z tym mężem, bratem i t. p. wyprzedza go. Nie sądzę, żeby miała przez to ubliżać tej swojej kobiecości, a jeśli jej wskutek ćwiczeń sportowych zostanie mniej czasu na flirt, potrafi ona sobie powetować to z nawiązką, i dziwiłabym się bardzo, gdyby dyabeł miał być przez to stratnym. Nasze babki były wszystkie prawie kobietami sportu — jeździły konno, ślizgały się, robiły nawet biegle bronią ręczną. Zdaje się, że sport winien być środkiem uzdrowienia tej wiekuiście okaleczałej, dzięki wychowaniu w absurdzie i obłudzie konwencyonalnej. A jest też w tem i wdzięk nowości, i jeden więcej sposób zajęcia sobą uwagi ogólnej. Bo jużciż przecie nie powie nikt na seryo, żeby kobietę tak pochłaniać dzisiaj miało pożądanie wiedzy... ale o tem sza! Okrzyczanoby mnie jako zdrajczynię sprawy!..

Oto znowu głos p. M. Jammès dyrektorki kursów dla młodych dziewcząt — ta mówi o wiele poważniej:

„Moje długie doświadczenie pedagogiczne powinnoby mi dawać pewne prawo do odezwania się w tej sprawie, a właśnie to doświadczenie nauczyło mnie, że wysoce niepożądanem jest wszystko, co odrywa kobietę od

domowego wnętrza. Nie ganię ćwiczeń ciała, a choćby nawet t. zw. sportów, stanowczo, ale dopuszczam te ostatnie jedynie jako rozrywkę. Ten charakter wyjątkowości zachować one powinny, nie przechodząc nigdy w treść życia, w jego tło i ton. A tu właśnie tkwi niebezpieczeństwo, bo niezapominajmy, że epoka nasza we wszystkiem kieruje się modą i naśladownictwem. Obyczaje angielskie przeszły cieśninę i maskulinizują nas gwałtem. Dobre łyżwiarstwo, dobry tennis na świeżem powietrzu, niechajże będzie i ten rower wszechwładny, tylko niech gust do tych rozrywek nie przechodzi w namiętność, a pamiętajcie, że francuzka nie lubi robić rzeczy w połowie. Kobieta była pracownicą do tej pory, teraz powiadają, że pracuje jeszcze więcej, ale gdzie znajdzie ona na to: „więcej“ czasu przy sporcie, który go przecież zabiera tyle. Świat, powiadają jest pochmurny i skłonny do poddawania się troskom—trzeba go odżywić i orzeźwić, naturalnie przy pomocy tych sportów zawsze. Bardzo byłoby to dobre i społeczność zyskałaby na tem niezmiernie, byle tylko w pewnych godzinach stanowczych, w pewnych koniecznościach ta kobieta odnalazła się w domu i dla domu, i byle ten dom nie przestał jej być drogim.“

Są to zatem desiderata ostrożniej nieco wypowiedziane, niż te, któreśmy przytoczyli z odpowiedzi koronowanej autorki, ale zdaje się, że w tym samym prawie stopniu ziszczalne, co tamte.

Alfons Daudet przyznaje, że pytanie wprawia go w kłopot. Zgadza się na to, aby wzmocnić fizyczność dziewcząt, zanim się od nich kiedyś zażąda trudów i ofiar macierzyństwa, ale obstaje przy tem, żeby wzmocnienie było istotnem. Nie chce on widzieć w kobiecie istoty przędącej tylko historyczną wełnę, ale się lęka, aby życie współczesne nie zrobiło z jej domu rodzaju korytarza, w którym się zmienia toalety i spożywa obiady. Bo że pewne kobiety wyjątkowo czynne i wyjątkowo bogate, potrafiły wprowadzić w życie swoje te wszystkie sporty, bez wyraźnego dla oczu ludzkich ubliżenia obowiązkom żon i matek, nie idzie zatem żeby się to równie dobrze powieść mogło rojowi całemu ich naśladowniczek, którym może niedostawać ani takiego stopnia równowagi w czynnościach, ani takiego majątku nadewszystko. Mówicie nam ciągle, powiada Daudet, o kształceniu tą drogą odwagi. Ja nie wiem, ale ja widziałem dawną kobietę, która okazywała wielkie męztwo w chwilach stanowczych, widziałem niesłychane bohaterstwa i poświęcenia, nie mówiąc o codziennych trudach i czuwaniach przy łożu osób najdroższych. Dzisiaj wogóle, tak kończy Daudet, mieszają ludzie pojęcia talentów, zdolności, przeznaczeń i zadań życiowych, i myślę, że wystąpienie przeciw tej konfuzyi wyjść powinno od kobiety, jeśli ona nie ma skończyć na obniżeniu się w tym swoim ciągłym wyścigu z mężczyzną.

Członek akademii medycznej dr. Samuel Pozzi, tylu ścieśnieniami obwarowywa sport kobiecy, że gdyby wziąść w rachunek te zastrzeżenia jego wszystkie, przyzwolenie samo okazałoby się dla kobiety zaprzeczeniem prostem. Powiada on, że dla mężczyzny zarówno jak dla kobiety przebranie miary w ćwiczeniach ciała, kończy się nieuchronnie naruszeniem prawidłowości w funkcyach serca. Ztąd pierwszym warunkiem nieodzownym umiarkowanie dla obu płci, z tą wszakże na niekorzyść kobiety różnicą, że ma ona nietylko zadania życia odmienne, ale i ustrój fizyczny całkowicie różny. Dla niej sporty o tyle są dostępne, o ile jej nie przeszkadzają być kobietą w znaczeniu fizyologicznem. Przychodzą epoki w rozwoju kobiety, w których sporty są wprost nie dla niej—bywają inne wchodzące już w okres jej zamążpójścia, w których myśleć nawet o nich nie godzi się. Jakże tu wprowadzić w to życie tak skomplikowane sport jako czynnik stały?

Dr. Hericourt, jeden z pomiędzy wszystkich odpowiadających na kwestyonaryusz, rozróżnia ćwiczenie ciała od sportów, i dlatego on jeden jest ścisłym i konsekwentnym w formułowaniu kwestyi. Nie rozumie sportu inaczej jak połączonego z dążeniem do względnej w tych ćwiczeniach doskonałości. Otóż kobieta, która sobie zrobi założenie podobne, mimo wszelkich wysiłków zdrowiu szkodliwych, koniecznie musi pozostać daleko za mężczyzną.

Ponieważ głos takiej powagi, jaką w świecie całym jest dr. Charcot, ma szczególną ważność zarówno w tej, jak w każdej innej kwestyi zostającej w związku z nauką lekarską, przeto podajemy kilka wyrazów tego uczonego w ich dosłownem tłómaczeniu, jakkolwiek z góry uprzedzamy, żebyśmy z tą odpowiedzią nader szczególną woleli nie zaznajamiać czytelniczek naszych, tak dalece nam się ona powierzchowną, żadną, tak nadzwyczajnie francuzką, w pospolitem znaczeniu tego określenia, wydaje. Skoro jednakże podpisał się, dlaczego mielibyśmy być więcej troskliwi niż on sam o powagę imienia jego.

„Przepraszam bardzo za moją odpowiedź spóźnioną—przepraszam i za to, że nie mam zbyt wiele do powiedzenia w kwestyi, która was interesuje. Dla kobiety rozumiem takie tylko sporty, które jej nie przeszkodzą być całkowicie kobietą. Jeśli będzie miała na pierwszym względzie sumienne zadosyćuczynienie temu nieodzownemu warunkowi, nie potrzeba się dla niej obawiać ani nadużycia sił, któreby ją uczyniły szpetną, ani używania kostiumów ośmieszających, ani prezentowania rozgrzanych przez utrudzenie policzków otoczonych włosami zlepionymi potem.

„Pytacie mnie także, jak ja pojmuję kobietę? Oto pojmuję w niej taką osobę, która, ile się da, najmniej jest podobną do mężczyzny, i która tyle o sobie pamiętać umie, że nie przestaje ani na chwilę być powabną i dystyngowaną. Zdaje mi się, że idąc za mojemi wskazaniami, kobieta zachowa swoje przyrodzone wyższości nad mężczyzną, że potrafi i nadal robić z tym mężczyzną co zechce, dzięki czemu mężczyzna będzie musiał pozostać dla niej z dawną galanteryą!..“

Oto marne słowa spadłe z wielkich wysokości. Niezmordowana ze strony kobiety baczność na siebie, pamięć o tem, aby nie uronić nic z tego daru przyciągania mężczyzny, a wzamian za to powrót tego mężczyzny do starej galanteryi francuzkiej — oto wszystko. Już to gdy idzie o ten sport nieszczęśliwy, to jak się przekonywamy i z najtęższej głowy nic mądrego nie wyjdzie.

W każdym razie przytaczając kilkanaście głosów powołanych we Francyi do wypowiedzenia się, azali sport uważają za potrzebny lub zbyteczny w życiu kobiety, znaleźliśmy i lekkomyślny cynizm jednych, i powtarzanki krótkowidzących, i naiwności prawie że podejrzane, bo w niczem nie dające się sprowadzić na grunt realny życia. Akademicy i psychologowie-lekarze wyznają, że jeśli co ich straszy, to przewidziane zmniejszenie się omdlewającego wdzięku, którym kobieta dotychczasowa tak czarować umiała. Kobiety mówiąc do podobnych sobie zapominają w nader zabawny sposób, o wielkich hasłach, które mi krzykliwie nacechowały epokę, i ukazują massom jako wzory jednostki próżniacze tonące ze znudzenia w sportach—te same jednostki, które wczoraj jeszcze stawiane były przez nie jako gorszące przykłady nieużyteczności publicznej.

Tak się przedstawia we Francyi komiczna naganka przedsiębrana na rzecz jednania sportowi zwolenników; — co o niej sądzić na gruncie naszym, niewiadomo doprawdy.

Raz ustaliwszy jako pewnik niewzruszony potrzebę wzmacniania organizmu, równie jak całkowity brak wspólności między sportem a zalecanemi przez naukę, niezbędnemi, metodycznie wprowadzonemi w życie ćwiczeniami ciała dla obu płci zarówno — nie odgadujemy nawet kogo właściwie nawołują u nas propagatorowie do swoich kółek, klubów i stowarzyszeń — jakich warstw, sfer i stanów kobietę chcą dla nich zyskiwać.

Nie tę przecież ze sfery najmożniejszej, bo ona kaprysi, dziwaczy i tworzy ekscentryczności ale tylko w uprzywilejowanem środowisku swojem, z tak zwanym tłumem szarym nie mieszając się nigdy.

Nie kobietę sfery średniej posiadającą rodzinę, ani tę, która wyszedłszy z rodziny dzięki niefortunnym kolejom losu, wzięła szczerze do serca wielkie obowiązki leżące dotąd poza dostępną dla niej sferą działalności. Takiej kobiety nicością intellektualną atmosfery sportowej, niedostatecznem jej członków uspołecznieniem, i nizkim nadewszystko poziomem pragnień, nie pociągnie w żaden sposób.

Nie tę wreszcie wytwarzającą się, a dziś już liczną bardzo u nas klasę kobiet młodych, zarabiających samodzielnie na byt powszedni, bo ta choćby w osobach pewnych wyjątków chciała się wkupić do bractw próżniaczych, nie ma po temu ani czasu, ani środków. Zostawcież ją w spokoju, bo wszak wiecie, że średnio przeciętny zarobek 150, 200, 300 rubli, a niechby i wyżej nieco, dostępny pracownicom w handlu i przemyśle, w nauczaniu czy sztuce stosowanej, dają byt czarny, dla którego jedynym dopuszczalnym zbytkiem jest czystość i porządek materyalny otoczenia. Dzień świąteczny może być dla takich albo wypoczynkiem, albo innego rodzaju pracą broniącą od zejścia między rzeczywiste niziny społeczne.

Szczególnie lekkie trzeba mieć sumienie, żeby chcieć tę zapracowaną wyrywać towarzystwu uspołecznionemu, pozbawiać je widowisk pouczających, odczytów, koncertów, a ciągnąć do pedałowania — wogóle do wycieczek i zgromadzeń, których cementem jedynym jest ów sport wraz z jego nastrojem, gwarą, tonem, piśmiennictwem etc., etc.

T. M.

A. S.

—

KLĄTWA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

(Dalszy ciąg).

— I to prawda, że ty dotąd nie wiesz nic, a chciałbyś przedewszystkiem przyjść do przekonania, czy gra warta świeczki? Wszak o to chodzi? Bardzo naturalne. Będę treściwym i odpowiem ci jednem słowem: warta... Ten, którego możesz dziś uważać za swego poprzednika, przyszedł tam do zamożności względnej, a że nie przekroczył dotąd zwyczajnej mierności, to wina jego własna, albo jego zasługa—jeśli wolisz tak kwestyę postawić.

— Dawno umarł?

— Wcale nie umarł—żyje dotąd.

— Wyprowadza się?

— I to nie—owszem pozostaje na miejscu.

— Oh! to komplikuje sprawę.

— Bynajmniej. Miejscem tem rozporządzam na mocy pewnych, zupełnie wyjątkowych okoliczności, ja, a przytem zgadza się to z jego wolą całkowicie, i na jego żądanie ja podałem ogłoszenie. Wybór następcy pozostawiono mnie.

— Pozwoli pan radca zapytać kto pozostawia?

— Najpierw on—potem kilku ludzi z okolicy znacznych i wpływowych, którym idzie o to, aby miejscowość nie pozostała bez dobrego lekarza.

— Takim był, jak się domyślać mi wolno, ten, po którym ja objąćbym miał pracę?

— Z pewnością—wybitna siła w swoim czasie—oh tak!

— Rówiennik pana radcy wiekiem?

— No — nie, ale przebył tam prawie nieprzerwanie lat 16—zyskał zaufanie i... no tak—zaufania jako lekarz używał znacznego, a i my tu nawet coś niecoś wiedzieliśmy o nim. Nie dał się prowincyi—pisywał.

— Podupadł zapewne na zdrowiu?

— Niekoniecznie, ale powiada, że ma praktyki lekarskiej dosyć — i to nam jako motyw z jego strony wystarczyć musi—zresztą zobaczysz sam.

— Ten człowiek obchodzi pana radcę?

— Bardzo.

— Milczenie kilkominutowe zapanowało między tymi dwoma ludźmi, staruszek przerwał je wypowiedzeniem zdania bardzo dobitnie zaakcentowanego.

— Tak dalece mi jest blizkim, że gdybyś się ty nie zdecydował, zmuszony byłbym położyć możliwy nacisk, aby on ztamtąd wyniósł się stanowczo, co znowu jemu zrobiłoby przykrość niewypowiedzianą. Odrazu powiadam ci, że i nasz stosunek wzajemny, i całe wogóle położenie liczy się do wyjątkowych, ale o tem—potem.

Dr. Werner uspokajać się zaczynał coraz więcej, a stary jego przyjaciel wbrew przeciwnie zdradzał teraz pewne podniecenie. Powstał z miejsca i mierzonymi kroki chodził z jednego końca pokoju w drugi. Znać było, że więcej wie, niż mówi, albo niż powiedzieć może, ale że rozważa, co w tej chwili pozostaje mu jeszcze jako objaśnienie nieuniknione. W końcu, jak gdyby się zdecydował, stanął przed gościem swoim i położywszy mu obie ręce na ramionach zaczął w te słowa:

— Powiedz-że ty mnie, ale powiedz nie pod naciskiem okoliczności, broń Boże, to jest nie z uwagi na chwilę, która jest dla ciebie, jak się zdaje, dosyć ważną, a może nawet przykrą—czem my obaj jesteśmy względem siebie? Nie zapędzaj się, mów po namyśle, bo to, co powiesz będzie cię obowiązywało.

— Mogę mówić tylko za siebie, to znaczy czem jesteś pan dla mnie. Otóż ja czuję się względem pana dłużnikiem na życie całe. Jeśli we mnie jest coś, co zapowiada, a ja dotąd czuję nieraz te drgnienia i oto właśnie jedno z nich, które tę chwilę robi mi tak niewypowiedzianie ciężką i bolesną—jeśli widzę przed sobą drogę, to wskazałeś mi ją pan — jeśli mam wielkie pragnienia dokazania czegoś w moim zawodzie lekarskim, te pragnienia zawdzięczam panu jednemu. Pojadę tam, gdzie mię chcesz posłać, choćby mi stokroć ciężej życie płynąć miało niż dotąd. Więcej nic nie mam do powiedzenia.

— Dziękuję ci. Ofiary oprócz tej, jaką pociąga za sobą czasowe, bo kładę na to nacisk że czasowe, poniechanie specyalności twojej, nie robisz żadnej, chociaż i pod tym względem... ale to są już rzeczy późniejsze. O reszcie pomówimy.

Jednem słowem, my skończyliśmy ze sobą?

— Co do mnie—tak.

— Kamień z serca mi zdjąłeś, bo ja bez długu względem tego tam samotnika nie jestem. Oddał on mi w swoim czasie jedną z usług, o których człowiekowi honoru ani człowiekowi serca zapomnieć nie wolno. Ja też pamiętam, ale on jak się pokazuje, zapomniał, bo nie ma do mnie tego zaufania, jakieby mieć mógł i powinien. Obaj nad tem cierpimy, ale to nie jest w nim do przemożenia, i wreszcie ja tego ani żądam, ani potrzebuję. Chcę mu choćby wbrew jego woli i wiedzy oddać w części to, co on zrobił dla mojego dziecka w godzinach bardzo stanowczych. To piękny duch mieszkał w tym człowieku, oh bardzo piękny!

Dr. Werner podkreślił sobie ten czas przeszły.

Rozmowa nie mogła się dzisiaj przedłużać. Obydwaj byli nią zmęczeni—młodego przygnębiało samo jego nagłe i niespodziane postanowienie o swoim losie—stary zdawał się mierzyć dozy, z któremi liczył się w zwierzeniach swoich. D rowi Wernerowi wydawało się, że tu chodzi o tajemnicę cudzą — bo ze swoją własną byłby się ten człowiek przed młodym swoim przyjacielem z pewnością tak nie drożył. Niby kończąc to, co między nimi postanowionem zostało, zaczął znowu radca Z.

— Ale, bo ja tobie, zdaje się, nie powiedziałem dotąd nazwiska człowieka, o którym mówimy ciągle?

— Nie wiem jeszcze w istocie o kogo chodzi.

— Tak—to jest doktor Młodziński.

— Ten co mieszka w Czarnobrzegu?

— Ten sam. Słyszałeś o nim widać?—pytał radca, bacznie wpatrując się w gościa.

— Słyszałem wiele rzeczy pochlebnych.

— A widzisz—tem lepiej—tem lepiej! Rozejrzyj się na mapie, gdzie jest ten kąt zapadły, w który się na czas jakiś zaszywasz, a jeśli mi chcesz zrobić grzeczność, to pofatyguj się za mnie do „Kuryera,“ aby cofnięto ogłoszenie. Nie mam czasu na daremne pogawędki. A i dziś pozwolisz, że się musimy rozstać—jesteś lekarzem i rozumiesz to równie dobrze jak ja, który nim nigdy nie byłem. Do widzenia tedy jutro, o tym samym czasie.

Dr. Werner idąc ku placowi Teatralnemu przypomniał sobie o znajdującym się na drodze lombardziku prywatnym, któremu powierzyć postanowił na czasowe przechowanie swój zegarek. Po dniu pełnym wrażeń i walk wewnętrznych należał mu się przecież obiad, a o tym obiedzie bez zastawienia jedynego przedmiotu wartościowego, jaki posiadał, mowy być nie mogło.

Kładąc do kieszeni 9 rubli z kopiejkami otrzymane wzamian za zegarek, poszepnął do siebie z uczuciem ulgi:

— Że tak przez lata całe żyć nie można, to chyba pewnik niezbity. I co mnie w takim razie pozostawało innego nad to, co zrobiłem?

ROZDZIAŁ II

Resztę wyrzutów, jakie sobie mógł robić dr. Werner rozwiała noc niepowrotnie. Nazajutrz rano zbudził się z uczuciem ulgi i pierwszą jego myślą było, jak też czułby się przygnębionym dzisiaj, gdyby widział przed sobą dalszy ciąg tego bytu szarego, na który składały się walki bez nadziei zwycięztwa i ofiary bez widocznego pożytku ludzkiego.

Raportów rannych dyżurnego wysłuchał obojętnie, nie dodawszy do nich jednego słowa, przeglądu chorych dopełnił dla formy, zalecając na końcu, aby go niezwłocznie zawiadomiono o przybyciu lekarza naczelnego.

Temu ostatniemu sucho a zwięźle przedstawił, że z dniem jutrzejszym przestaje pełnić obowiązki, a stopień swojej na tem stanowisku użyteczności ocenić mógł najlepiej po skwapliwem, zaledwie kilku słowami żalu obłudnego ocukrzonem, przyjęciu tego postanowienia. Jemu ciężyło to wszystko niezmiernie, ale i jego osoby nie pożądano wcale w tej maszynie. Jeden jeszcze pretekst przeciw regulaminowi, jedno żądanie ulepszeń, a może zmieniłyby się role, i to, co on proponował dzisiaj, zaproponowanoby jemu przy pierwszej sposobności. Najwyraźniej instytucya potrzebowała innego człowieka. Do południa pozałatwiał rachunki, i nie żałując tu nikogo i niczego—sam przez nikogo nie żałowany, przygotował się zupełnie do opuszczenia miejsca, w którem, jak to pojmował teraz, czas i pracę zmarnował bezpożytecznie.

(Dalszy ciąg nastąpi)

KRONIKA.
KRONIKA.

Powodzie w Galicyi.

Niedosyć miała i ma nieszczęśliwa ta prowincya swoich prowodyrów politycznych i społecznych, jako klęski stałej i nieodstępnej—niedosyć upokorzeń moralnych i strat pieniężnych dzięki przeniewierczym administracyom różnych instytucyj finansowych — niedość emigracyi i nędzy chronicznej, potrzeba było po tem wszystkiem klęsk elementarnych, któreby ludność rolną wielotysięczną pozostawiły bez dachu i chleba.

Od początku Lipca otrzymujemy coraz nowe wiadomości o wylewie rzek. San wystąpiwszy z brzegów na długiej przestrzeni zrządził zniszczenia niezmierne. Sianokosy przepadłe, role przybrzeżne żyzne i obiecujące, w roku bieżącym leżą pokryte mułem. Okolice Jarosławia, Sanoka i Niska ucierpiały najwięcej. Wielkie są też straty kupców drzewnych, których spławy budulcu poszły z wodą. Z Borysławia piszą: Tyśmienica i jej dopływy wezbrały w roku bieżącym bardziej niż pamiętają ludzie najstarsi. Komunikacya wszelka przerwana. To samo donoszą z okolic Korczyna o wylewie Stryja. Łąki i pola uprawne zniszczone doszczętnie, komunikacya dzięki zerwaniu mostów i popsuciu dróg bitych zupełnie ustała. Oczekuje tedy Galicya w roku bieżącym głodu, a choć to tam i ofiarność prywatna, wydział krajowy, a nawet i rada państwa zajmują się już częściowem odszkodowaniem zubożałej ludności, ale wiadomo przecież, że klęska wylewu jest tej natury, iż jej żadne subwencye i zapomogi nie łagodzą. Nieszczęście takie pozostawia ślady na cały szereg lat zazwyczaj.

Z miasta.

Dwa mosty nowe na Wiśle dostanie Warszawa, jak się zdaje, w niedługim czasie. Co do pierwszego z nich, to na podane do władz przedstawienie magistratu tutejszego, nadeszła już odpowiedź z zarządu Głównego Naczelnika Kraju, której treścią jest, że dla pokrycia kosztów budowy tego mostu ministeryum skarbu uznało za możliwe pozwolić na ustanowienie osobnej opłaty za prawo korzystania z ruchu pasażerskiego. Wskutek tego przychylnego przyjęcia wniesionego podania zwrócił się magistrat warszawski do inżynierów komunikacyi pp. Marczewskiego i Czajkowskiego o sporządzenie planu budowy i kosztorysów przedsięwzięcia.

Drugi most projektował p. Fajans jako przedsiębiorstwo czysto prywatne; budowa ta ma być łyżwowa, a co do niej również nadeszła z Petersburga odpowiedź nie wykluczająca możliwości wprowadzenia projektu w wykonanie.

Dowiadujemy się ze zdziwieniem, że jedno z ostatnich już w obrębie rogatek zadrzewionych schronień, przechodzi znowu na parcelle przeznaczone pod budowę domów. Mówimy tu o znacznej części posesyi zwanej „Bagatela,“ którą Towarzystwo Ogrodnicze już podobno rozprzedało. Na miejscu więc zieleni gazonów i otwartej przestrzeni, w których zaduszone płuca jakiejś części Warszawian przez parę chociaż godzin dziennie odetchnąć dotąd mogły, powstanie znowu kilka trzy i czteropiętrowych domostw o minimalnych dziedzińcach i maximalnych cenach komornego. Nie myślimy robić z tego zarzutu Towarzystwu Ogrodniczemu, które zapewne wie co robi, i które wyłożywszy na uporządkowanie wilgotnej gęstwy znaczny kapitał, musiało być do tej tranzakcyi zmuszone względami materyalnej natury, ale miasto, pozwalające sobie zabierać ostatnie wirydażyki w jego obrębie położone, a jednocześnie snujące projekty milionowych tranzakcyi, gwoli zaopatrzenia Warszawy w jakiś park extra muros, miasto jest doprawdy nie do zrozumienia. Patrzono spokojnie jak parcelowała spekulacya przy zbiegu Hożej i Marszałkowskiej bardzo pięknie zacieniony ogród należący do rodziny Kronenbergów, patrzą ci sami ludzie teraz na rozprzedawanie placów pod budowę na posesyi Towarzystwa Ogrodniczego. Charakterystycznym jest przytem wielce ten nasz żal spóźniony objawiający się przy każdym takim spełnionym akcie wandalizmu. W niespełna miesiąc po wycięciu drzew na rogu Hożej i Marszałkowskiej, rozpoczęły się po dziennikach zgodne utyskiwania na naszą złą gospodarkę i nasz zupełny brak przewidywania—ciekawa rzecz kiedy też z okazyi tej ostatniej dewastacyi, rozpoczniemy treny nasze tym razem znowu.

A jednak wzgląd na jedne chociażby dzieci warszawskie wystarczyćby powinien dla obudzenia się z tej apatycznej śpiączki.

Z wystawy Paryzkiej.

Tymczasowe wiadomości nadeszłe do Warszawy o odznaczeniach malarzy naszych na wystawie paryzkiej roku bieżącego wymieniają nam następnych artystów naszych wraz z ich nagrodami. Przedewszystkiem winniśmy oznajmić, że odznaczenia pierwszorzędnego t. zw. wielkiego dyplomu honorowego nie otrzymał z naszych nikt. *Złote medale* przyznano: a) Mehoferowi za portret panny I. i Martynowi Michalskiemu za nadesłane trzy portrety. *Medale srebrne* otrzymali: a) Jacek Malczewski (dwa obrazy: „Błędne koło“ i „Melancholia“) — b) Włodzimierz Tetmajer („Święcone na wsi“). *Medale bronzowe*: a) Franciszek Żmurko („Gwiazda Betleemska“) — b) Wojciech Gerson („Kazimierz Odnowiciel“)—c) Adam Badowski (portret J. E Arcybiskupa Popiela) — d) Hirszenberg („Żyd wieczny tułacz“)—e) Zdzisław Jasieński (portret d-ra N.)—f) Kędzierski („Praca“) — g) Józef Ryszkiewicz („Śmierć markietanki“)—h) Jan Rosen („Gwiazda honorowa“)—i) Juliusz Fałat („Polowanie“) — k) Leon Wyczółkowski (trzy portrety) — l) Kazimierz Pochwalski (dwa portrety).

Ze spraw użyteczności publicznej.

„Kuryer Codzienny“ donosi, że Towarzystwo wyścigów konnych zamierza przenieść doroczne odbywające się wyścigi w Pławnie, albo do Piotrkowa, albo do Kielc. Oczywiście, że wobec kierunku, jaki przybrała ta zabawa, usuwanie się się z nią w jakieś miejsca oddalone i odludne nie ma zupełnie celu. Piotrków i Kielce licytują się tedy do pewnego stopnia przy zaofiarowaniu korzyści i udogodnień, a które z tych miast utrzyma się przy nowym przywileju, rozstrzygnie komitet w ostatnich dniach bieżącego miesiąca. Nadmienia przytem pismo, z którego czerpiemy tę wiadomość, że komitet po zapadłej decyzyi poczyni starania o uzyskanie pozwolenia wprowadzenia totalizatora.

Nie idzie nam już o to, że Towarzystwo wyścigów konnych coraz cyniczniej drwi sobie z opinii publicznej, bo to są już rzeczy znane, o które głos publiczny do poczucia etycznego członków tej instytucyi bynajmniej kołatać nie myśli; w danym wypadku mieliśmy tylko zamiar zwrócić uwagę na krótkowidztwo szczególne mieszkańców tych dwóch miejscowości, ubiegających się o wyścigi, i występujących dlatego z zaofiarowaniem placów, estrad i t. p. Ma to zapewne być dla podniesienia materyalnej pomyślności miasta — winszujemy w takim razie zdrowego sądu.

Wskazówki i rady.

Risi bisi (potrawa włoska).

Ryż z parmezanem jest zawsze dobrą potrawą, otóż we Włoszech podano mi wyborny ryż innym sposobem. Ćwierć funta ryżu zblanżerować czyli lekko zagotować, odlać a następnie uprużyć w młodem maśle, podlewając nieco wodą, żeby się nie przypalił pod pokrywą. Pół kwarty zielonego groszku świeżego wyłuskać i ugotować na dużej wodzie z solą, parę młodych grzybków także ugotować i pokrajać w paski, wymięszać ryż, groszek i grzybki z łyżką młodego masła i łyżką parmezanu, posolić, włożyć w głęboką glinianą miseczkę masłem wysmarowaną, i na pięć minut, aby tylko nie dłużej, wstawić w piec, żeby się zlepiło i rozgrzało. Wyrzucić na talerz i posypać grubo permezanem. Bardzo dobra jarzyna, a co więcej oryginalna, bo głównie ją we Włoszech podają.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

☞ Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami i arkusz z krojami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 18 Іюля 1900 г. Redaktor Jan Skiwski. DODATEK.
Wydawnictwo i druk Warszawskiego Towarzystwa Akcyjnego Artystyczno-Wydawniczego.